



DEBATES / DEBATY

Czy byliśmy głupi?

Marcin KRÓL*

Aleksander SMOLAR**

Prof. Paweł Kłoczowski: Witam Państwa na debacie profesora Aleksandra Smolara z profesorem Marcinem Królem. Tytuł wytłumaczę, bo może nie wszyscy z Państwa są zorientowani, skąd został on wzięty. Najpierw już dosyć dawno, bo 7 lutego 2014 roku, ukazał się obszerny wywiad, który dziennikarz *Gazety Wyborczej* Grzegorz Sroczyński przeprowadził z Marcinem Królem. Wywiad ten odbił się dość szerokim echem, a zatytułowano go właśnie *Byliśmy głupi*. Później powstała książka pod tym samym tytułem, ale — co istotne — została wydana i napisana jeszcze przed porażką liberałów, przed zwycięstwem prezydenta Andrzeja Dudy i Prawa i Sprawiedliwości (PiS). Z dzisiejszej perspektywy czyta się ją nieco odmiennie niż przed zwycięstwem formacji politycznej Jarosława Kaczyńskiego, nabiera ona zupełnie nowego charakteru, mówiąc górnolotnie „rachunku sumienia”, pytania o to: gdzie były błędy, gdzie pobłądziliśmy. Wpisuje się to również w szerszy kontekst myśli Marcina Króla. Jeśli chodzi o formację intelektualną, Król bardzo wiele zawdzięcza Krakowowi, zarówno poprzez wieloletnią przyjaźń z *Tygodnikiem Powszechnym*, którego był też redaktorem, ale przede wszystkim przez wnikliwe jego studia konserwatystów krakowskich, „stańczyków”, Zmartwychwstańców i księdza Kalinki. Przypomnijmy, że konserwatyzm krakowski oznaczał przede wszystkim szyderstwo z powstań, to znaczy, jak to określał Paweł Popiel, konserwatyści woleli być w roli strażaków niż podpalaczy; chodzili z sikawką, żeby gasić niewczesne

* Prof. dr hab., Instytut Stosowanych Nauk Społecznych, Uniwersytet Warszawski. E-mail: marcinpresent@gmail.com.

** Prezes Zarządu Fundacji im. Stefana Batorego. E-mail: aleksander.smolar@gmail.com.

zapały. Ich główne przesłanie do wielkich magnatów polskich było takie: zanim zaczniecie oskarżać drapieżnych agresorów Polski, takich jak Katarzyna Wielka, Maria Teresa czy Fryderyk, to najpierw uderzcie się w piersi i sprawdźcie, czy sami nie byliście głupi, czy sami nie pobłądziliście. Myślę, że to przesłanie głęboko trafiło do Marcina i niewątpliwie jego książka jest echem tej myśli; aby nie wpaść w zadufanie, trzeba zrobić skrupulatny rachunek sumienia, zawsze zdrowy dla duszy. Nie będziemy jednak tu dyskutowali tylko o samej książce, raczej stanie się ona pretekstem do rozważania aktualnej sytuacji, w szczególności dzisiejszej sytuacji szeroko rozumianego liberalizmu. Większość tematów, które poruszał Marcin Król jest dość kontrowersyjna. Najpierw oddam głos profesorowi Aleksandrowi Smolarowi, który wyłuszczy swoje argumenty, jak rozumiem przeciwne tezom, które głosi Marcin Król, później profesor Król odpowie, no i po pewnej debacie oczywiście oddamy też głos Państwu, żeby tę dyskusję rozszerzyć.

Prof. Aleksander Smolar: Będę mówił, zgodnie z zapowiedzią, o wywiadzie przeprowadzonym przez Grzegorza Sroczyńskiego z Marcinem Królem, który ukazał się pod tytułem *Byliśmy głupi* i o książce później napisanej i noszącej ten sam tytuł. Znamy się z Marcinem od ponad pięćdziesięciu lat, znam wszystkie albo prawie wszystkie książki i artykuły Marcina. Wiele z tego, co pisał, było mi bliskie, inne rzeczy nie, ale je ceniłem. W każdym razie, nigdy nie szokowały mnie, ani też nie oburzały, a wymienione dwie pozycje, o których będziemy mówili, głęboko mnie poruszyły.

Zacznę od tytułu obu pozycji. Co oznacza w nich słowo „głupi”? Sama niewiedza czy błąd to jeszcze nie jest dowód głupoty. Indywidualnie i zbiorowo popełniamy często błędy. W przywoływanym wywiadzie i w samej książce Marcin Król przypisuje polityce zadanie rozwiązywania problemów niepewności, przed jakimi stoi społeczeństwo. To jeden z wymiarów polityki. Jej podstawowym zadaniem jest rozwiązywanie konfliktów społecznych, zapewnienie stabilności, pokoju wewnętrznego i zewnętrznego oraz tworzenie warunków rozwoju. Jeżeli jednak wyjdziemy od problemu niepewności, to samo to pojęcie zakłada możliwość a nawet nieuchronność błędu, a więc również prawo do błędów. Czy można w takiej sytuacji mówić o głupocie? Zacznę od wspomnienia mojego własnego błędu, który nauczył mnie pokory intelektualnej.

Byłem na emigracji przez dwadzieścia lat i przed 1989 rokiem uczestniczyłem w konferencji o Europie, w czasie której odbyła się między innymi sesja o perspektywach Europy Środkowej. Brałem w niej udział wraz z Timothyem Gartonem Ashem. Wygłosiłem wtedy bardzo ostrożnie — bo w niepewnej ówczesnej sytuacji nie chciałem formułować radykalnych, wręcz prowokacyjnych tez — referat, który zawierał tezy dość pesymistyczne, jeżeli chodzi o Polskę. Uważałem mianowicie, że będzie się ona znajdowała w znacznie trudniejszej sytuacji od innych, najbliższych nam krajów regionu. Podałem szereg

argumentów na rzecz tej tezy. Po pierwsze wspomniałem o dramatycznej sytuacji ekonomicznej. Następnie o tradycji rewolt robotniczych, poczynając od Poznania 1956, które blokowały możliwość zrzucania na pracowników kosztów naprawy gospodarki. Głębsze przyczyny wiązałem z dziedzictwem wojny i komunizmu: praktyczne zlikwidowanie klasy wyższej — część na emigracji, część wymordowana, część społecznie zdeklasowana. Klasa średnia zdziiesiątkowana w wyniku wymordowania Żydów oraz wypędzenia bądź ucieczki Niemców. Nastąpił nawet regres, jeżeli chodzi o robotników z wielkich zakładów w wyniku zniszczeń wojennych. Mamy zatem kraj fundamentalnie konserwatywnej kultury wiejskiej o zablokowanych możliwościach modernizacji, bo PRL nie był w stanie narzucić kolektywizacji, ale blokował jakiekolwiek możliwości pozytywne przekształceń wsi. Do tego dochodził konserwatywny ekonomicznie, społecznie i kulturowo Kościół katolicki. Jest swoistym paradoksem, iż relatywna niezależność polskiej wsi oraz Kościoła — do tego trzeba dodać powstanie Solidarności — to były trzy wielkie atuty Polski do 1989 roku, które powodowały, iż była ona bardziej otwarta od pozostałych krajów obozu sowieckiego. Ale te trzy odmienności — wedle mojego ówczesnego wyводу — staną się poważnym problemem w warunkach demokracji i modernizacji wolnej Polski. Dlaczego? Bo związek zawodowy Solidarność, niezależnie od innych ról, jakie wypełniał, musi nieuchronnie zderzyć się z projektem kapitalistycznej modernizacji ze względu na mocną pozycję konserwatywnego Kościoła, tradycyjnie nieufnego wobec przemian kapitalistycznych i liberalnych, w końcu dlatego, że chłopstwo, stanowiące poważną część ludności, bardzo tradycyjne, gospodarujące na małych kawałkach ziemi, też będzie czynnikiem oporu wobec jakichkolwiek radykalnych projektów przekształceń struktury społeczno-gospodarczej. I dzisiaj uważam, że miałem wówczas silne argumenty na rzecz mojej dość pesymistycznej tezy, ale emigrantowi zabrakło pełnej znajomości sytuacji wewnętrznej. Usprawiedliwia mnie częściowo to, że w roku 1987 trudno było przewidzieć głębię zmian, do jakich dojdzie. Nie miałem wiedzy o wielu różnych czynnikach, które zaistnieją i które zmienią mapę możliwości Polski. Nie zdawałem sobie oczywiście sprawy, iż Polska odzyska pełną suwerenność i jaka będzie siła motywacyjna tego faktu. Nie zdawałem sobie sprawy z głębi odrzucenia systemu sowieckiego, również w jego wymiarze gospodarczym, z siły przyciągania Zachodu, z edukacji ekonomicznej setek tysięcy ludzi, którzy rozjeżdżali się po świecie w poszukiwaniu zarobków etc. etc. Trudno też było przewidzieć wielką rolę Kościoła i Solidarności popierających radykalne przemiany.

Innymi słowy, to, co wydawało się niesłychanie trudne, stało się możliwe. Trzeba też dodać, iż mimo tego, co pisał Marcin, w Polsce po 1989 roku mieliśmy relatywnie dojrzałą nową klasę polityczną. Szczególnie było to widoczne na tle innych krajów naszego regionu. Trzeba też dodać pozytywną rolę przywódców młodego pokolenia wywodzącego się z PZPR. To zbyt

długa dygresja o moim błędzie sprzed paru dziesiątków lat. Czy to jednak było dowodem głupoty? Czy dowodem głupoty było to, że Samuel Huntington, zapewne najgłębszy myśliciel polityczny drugiej połowy XX wieku, pisząc w połowie lat osiemdziesiątych o przyszłości demokracji, poświęcił zaledwie jeden akapit naszemu regionowi, aby stwierdzić, iż nie ma tu żadnej szansy na demokrację? Dlaczego? Bo nie ma możliwości, by przywrócić gospodarkę prywatną, a bez niej nie ma również możliwości funkcjonowania demokracji. Inny konserwatywno-liberalny myśliciel Peter Berger napisał na ten temat całą książkę, również dochodząc do wniosku, że demokracja w naszych krajach jest niemożliwa. I znowu, czy to jest dowodem głupoty? Berger, rozwijając swoją myśl, stwierdza, że kapitalizm nie ma własnej zasady legitymacji, a czerpie ją z samego faktu istnienia. Mamy tu do czynienia z zapośredniczoną legitymacją, powiązaną z religią czy demokracją. Takie były argumenty Huntingtona i Bergera stanowiące interesujący problem, który w ogóle nie jest dyskutowany. John Gray, w swoim ówczesnym prawicowym wcieleniu, dowodził po 1989 roku, że nie ma żadnej szansy wprowadzenia w naszym regionie kapitalizmu bez użycia siły. To samo zresztą mówił u nas na jesieni 1989 roku Stefan Kisielewski. Podobną tezę formułowali w istocie wybitni lewicowi myśliciele Claus Offe i Adam Przeworski. Uważali oni, że w ówczesnych warunkach nie dało się pogodzić kapitalistycznej transformacji z ustanowieniem demokracji, ponieważ ta ostatnia daje możliwości organizowania się wielkim grupom ludności, przede wszystkim robotnikom, którzy mają możliwości zablokowania przemian zagrażających ich bezpośrednim interesom.

Czy można odmówić logiki tym wszystkim myślicielom? Okazało się, że nie mieli racji, ale to nie oznacza, że byli oni głupi. Czemu w ogóle pada słowo „głupi”? Dlaczego przywiązuję do niego taką wagę? Dlatego, że Marcin dostarczył języka zarówno radykalnie prawicowej, jak i radykalnie lewicowej krytyce ubiegłego ćwierćwiecza. To słowo stało się substytutem merytorycznej krytyki i oceny tego, co dokonało się w Polsce po 1989 roku. Gdy śledzę publicystykę jednej i krytykę drugiej strony, gdy czytam o tak zwanej III Rzeczypospolitej w języku prawicowym, albo przeciwnie, to zawsze napotykam pozaintelektualne próby dyskredytacji tego, co się dokonało. Nikt jednak nie wyjaśnia, czym miałyby być owa głupota. U Marcina padają konkretne argumenty, w tym jeden podstawowy, który jest bardzo interesujący. Marcin Król zawsze był dla mnie konserwatywnym liberałem. Jednak w tekście, o którym mówimy, odkryłem radykalnie lewicowy typ krytyki. Główny nacisk położony jest tu na problem niesprawiedliwości i nierówności traktowanych jako skandal moralny. Zresztą w *Kulturze Liberalnej* w krótkim tekście tłumaczy on, że istotnie chodziło mu o to, by na świat patrzeć z punktu widzenia najwyższych wartości. Inny mi słowy, świadomie rezygnował z perspektywy politycznej, a więc z uwzględniania trudnych wyborów, gdy często chodziło o poszukiwanie mniejszego zła, a nie maksymalizowanie dobra. Odnajdywałem Króla — konserwatystę jedynie

w momencie, gdy mówi, że musimy się ruszyć, odzyskać ideę równości, inaczej przyjdzie „to coś” i będziemy wisieć na latarniach. Otóż moja hipoteza jest taka, że miałeś przed oczami widmo Jakuba Szeli.

Prof. Marcin Król: Niekoniecznie Szelę, bo Szela był jednak agentem obcym.

Prof. Aleksander Smolar: Ale tu nie chodzi o stronę agenturalną, on zdobył popularność nie dlatego, że był agentem przecież.

Prof. Marcin Król: Ale tak, masz rację.

Prof. Aleksander Smolar: To jest strach polskiej szlachty, polskich elit przed Jakubem Szelą. Muszę powiedzieć, że ten wyczuwalny strach mnie rozczulił i zaskoczył, bo w latach, w których Marcin pisze zarówno swój artykuł, jak i książkę, Polacy w ponad osiemdziesięciu procentach są zadowoleni ze swojego życia. Niezależnie od tego, jak osiągnięty postęp i poczucie sprawiedliwości będzie oceniał obserwator, Polacy byli zadowoleni wówczas i są przeważnie dzisiaj. Źle oceniali stan kraju, ale to coś innego. We Francji jest dokładnie tak samo. Francuzi swoje życie oceniają bardzo dobrze, natomiast stan kraju — fatalnie. To nie są też jedyne przypadki.

Byłem związany z dwoma rządami. Przede wszystkim byłem doradcą premiera Tadeusza Mazowieckiego. Wróciłem wtedy z Francji, gdzie spędziłem prawie dwadzieścia lat. To, co mnie najbardziej szokowało, to nie polityka, tę uważałem w dużym stopniu za nieuchronną, chociaż widziałem też popełniane błędy. Rozwój, rzecz wówczas rozumiała, miał charakter imitacyjny. W tym kierunku wywierana była presja Zachodu, był to też naturalny wynik konserwatyizmu elit i społeczeństwa — obawy przed podejmowaniem eksperymentów, intelektualnie zresztą nieprzygotowanych. To, co mnie naprawdę szokowało, to język debaty publicznej, w tym również na łamach *Res Publici*, którą Marcinie redagowałeś. Był to często język brutalny, język pogardy klasowej. Symbolem tego może być popularne wówczas pojęcie *homo sovieticus* wprowadzone za Aleksandrem Zinowjewem do polskiego obiegu przez wspaniałego skądinąd człowieka ks. Józefa Tischnera. Postawa robotników, czy szerzej pracowników najemnych, nie była żadnym dowodem istnienia oddzielnego gatunku *homo sovieticus*. Pragnienie bezpieczeństwa pracy, przewidywalności i sprawiedliwego wynagrodzenia, walka o godność osobistą i zbiorową to rodzaj rekompensaty, której domagają się również pracownicy najemni na Zachodzie, sprzedając za to część swojej wolności. Oczywiście, czasy PRL-u wzmocniły oczekiwania bezpieczeństwa i równości, choćby dlatego że przez pokolenia nie znano tu otwartego bezrobocia i znacznie poważniejszych różnic dochodów w gospodarce rynkowej.

To były istotne problemy w czasie transformacji, która nakładała na dużą część społeczeństwa poważne koszty, ale lekceważenie i pogarda ze strony

znacznej części elit były najgorszą możliwą odpowiedzią na te ówczesne problemy społeczne. Ograniczę się do dwóch przykładów. Pamiętam opublikowany w czołowej gazecie liberalnej, w okresie wojny na górze, rysunek, który mną wstrząsnął. Był na nim pomnik z łatwo rozpoznawalną postacią Wałęsy w fufajce i podpis: „Człowiek w waciaku”. To był przykład pogardy klasowej. Inny przykład dotyczy artykułu jednego z tu obecnych. Bardzo ostro skrytykował on znaną katolicką publicystkę Halinę Bortnowską, która pisała o tym, że państwo powinno opiekować się biednymi itd. Odpowiedzią były słowa o tym, że trzeba skończyć z komunizmem, że wreszcie trzeba wziąć odpowiedzialność za swoje życie. Popularny wówczas wśród inteligencji był radykalny dyskurs liberalny. Dla mnie, przybysza z Francji, było to szokujące. W Paryżu nikt, nawet radykalni libertarianie, nigdy by się takim językiem nie posłużyli. Natomiast w Polsce było to możliwe. Podstawowy problem w artykule Marcina i w jego książce jest jednak inny. Chodzi o pewien podstawowy podział, zdefiniowanie podstawowego problemu Polski jako kwestii niesprawiedliwości i nierówności. To jest podejście dominujące na lewicy. Ogromną karierę zrobił w tym kontekście problem tak zwanych umów śmieciowych — rzeczywiście, w Polsce ich udział jest skandalicznie wysoki — które politycznie odegrały jednak małą rolę, ale problem został przejęty i wykorzystany przez dążącą do władzy prawicę. Polska sytuuje się gdzieś w środku europejskiego peletonu, jeżeli chodzi o różnice dochodów. Tak naprawdę, jeżeli się zbada wydatki socjalne, to w Polsce, nawet w najgorszym, pierwszym okresie przemian, były one znacznie wyższe niż w krajach na podobnym poziomie, które odbyły normalną drogę kapitalistycznego rozwoju. Ich struktura oczywiście była inna, bo wydawano dużo na bezrobocie, które wzrastało. Jednakże na pewno można było w tej dziedzinie zrobić więcej. Stąd niemal powszechne docenianie programu 500+. Chociaż wszyscy zdają sobie sprawę, że na poprawę struktury demograficznej nie będzie to miało wielkiego wpływu. Wedle specjalistów były lepsze sposoby wydania tych pieniędzy, żeby pomóc kobietom, dzieciom, rodzinom, ale społeczny efekt redukcji nierówności, pomocy najbiedniejszym, efekt godnościowy dla uboższej części ludności, to były fakty o wielkim znaczeniu. Czy jednak to konflikt wokół nierówności dochodów, czy wymiar społeczno-gospodarczy zdominował artykulację sporów politycznych i doprowadził do zwycięstwa PiS? Można w to wątpić. Różne badania w Polsce, i zresztą w wielu innych krajach, pokazują, że to nie sprawa dystrybucji dochodów odegrała zasadniczą rolę. Zważywszy poglądy Marcina, które zawsze reprezentował, oraz jego wrażliwość, oczekiwałbym refleksji nad zupełnie innymi wymiarami polskich konfliktów. Przy tym nie chodzi wcale o czysto polskie zjawisko. W tym przypadku niesłuchanie istotny jest drugi wymiar. To problem kulturowy, problem wartości. Europa Zachodnia i Stany Zjednoczone, poczynając od pani Thatcher i Reagana, żyły w epoce skrajnego indywidualizmu. Nastąpiła ona wraz z kryzysem „państwa opiekuńczego”, po półwieczu jego intelektualnej dominacji. W Polsce ta tendencja ujawniła się po

1989 roku, ale jej zapowiedź można spotkać już wcześniej. Otóż wraz z kryzysem ostatniej dekady załamała się cała ta indywidualistyczna wizja. Znowu popularnością cieszy się wizja wspólnotowa, stąd też biorą się różne tendencje nacjonalistyczne w Europie, Stanach i gdzie indziej. Pojawia się bardzo silna potrzeba wspólnoty. Dlaczego? Upadła wiara w to, że człowiek jest kowalem własnego losu, w *individual way of survival*. Wiadomo już, że twój los nie zależy wyłącznie od ciebie, bo gdy widzisz głębię kryzysu, destabilizację kontynentów, Unii Europejskiej, krajów, regionów i jednostek, to trudno uwierzyć w moc indywidualnych decyzji. Stąd jest potrzeba znalezienia sensu i odpowiedzi na egzystencjalne problemy we wspólnocie. W Polsce są dwa uprzywilejowane języki wspólnotowe i w jakimś sensie oba PiS zmonopolizował. Pierwszy to naród i drugi to wiara. Co ważne, ani liberałowie, ani lewica nie mają obecnie alternatywnych języków odwołujących się do wspólnoty. Tradycyjną ich odpowiedzią była wiara w postęp i w państwo opiekuńcze — siła mobilizująca i integrująca tych idei bardzo w ostatnich dekadach osłabła. Nie oznacza to oczywiście, że w wyborach nieuchronnie przegra opozycja. Dlaczego? Bo PiS jest w stanie przewrócić się na własnych sznurowadłach jeszcze dziesięć razy. We Francji parę osób zwróciło uwagę, że podziały, które wystąpiły w wyborach, bardzo przypominają te, które znajdujemy u Charlesa Maurrasa, na *pays réel* i *pays légal*. Kraj rzeczywisty i kraj reguł narzuconych przez prawo, instytucje etc., czyli z jednej strony kraj formalny, zimny kraj reguł, wielkie miasta, samotność jednostki, utrata wiary, zaś z drugiej strony pejzaż wiejski z kościółkiem, bliskością ludzi, poczucie gorącej wspólnoty itd. To przecież ten sam podział, który występował w Rosji w czasach słowianofili i okcydentalistów czy na Węgrzech w podziale na urbanistów i populistów. U nas nie weszła w obieg specjalna nazwa, ale można mówić na przykład o obczyźnie i ojczyźnie, o sarmatyzmie i kosmopolityzmie etc. Ale ta opozycja występuje wszędzie w krajach cywilizacyjnie peryferyjnych. To jest podział na tych, którzy zwróceni są ku centrom cywilizacyjnym, i tych, którzy pragną zachować odrębność, specyfikę własnej wspólnoty. Warto w tej perspektywie analizować stosunek do Europy, do Unii Europejskiej, który ulega w ostatnich latach daleko idącej polaryzacji. Ten podział ma, jak sądzę, zasadnicze znaczenie i przynajmniej częściowo tłumaczy zmiany, które zaszły w Polsce i w wielu innych krajach.

Na koniec dwie uwagi. Pierwsza dotyczy rozmowy, którą miałem z moim francuskim szefem we francuskim Krajowym Centrum Badań Naukowych, w którym spędziłem parę dziesięcioleci, wybitnym myślicielem, filozofem, socjologiem Raymondem Aronem. Rozmowa miała miejsce na początku lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy przyjechałem do Francji, a żywe były jeszcze wspomnienia po buncie młodzieży z maja 1968 roku. Pytałem, czym bunt ten i ogólnie niezadowolenie Francuzów można tłumaczyć. Aron odpowiedział, iż po prostu w ciągu tych *Trente Glorieuses*, jak mówią Francuzi, po trzydziestu wspaniałych latach, osiągnęli oni postęp, jakiego nie znali przez

poprzednie sto pięćdziesiąt lat. Ten okres się skończył. Ludzie nie pamiętali już o osiągniętym postępie, myśleli bardziej o relatywnych stratach w stosunku do rozbudzonych aspiracji. Myślę, że w tym też — a nie w głupocie — jest odpowiedź na pytanie o zmiany polityczne, które miały miejsce.

Ostatnia uwaga. Niedawno przeczytałem książkę amerykańskiego lewicowego filozofa Michaela Walzera *The paradox of liberation: Secular revolutions and religious counterrevolutions*. Zrobiła ona na mnie spore wrażenie ze względu na dającą się z niej wyprowadzić możliwą interpretację polskiego rozwoju po 1989 roku. Badał on rewolucje narodowo-wyzwoleńcze przeprowadzone w trzech krajach: Indiach, Algierii i Izraelu. Na ich czele stały centrowo-lewicowe, sekularne siły, które w mniejszym czy większym stopniu realizowały model zachodniej modernizacji. Po czym, po dwudziestu pięciu latach, dochodzą w tych krajach do władzy siły polityczne związane z religijnym fundamentalizmem i kraje te odwracają się od Zachodu i dotychczasowego modelu rozwoju. Co z jego analizy wynikać może dla Polski? Fundamentalizm katolicki w Polsce odgrywa raczej rolę marginalną, ale faktem jest, że jeżeli się porówna sytuację obecną z czasami Jana Pawła II, nastąpiło bardzo poważne przesunięcie w Kościele katolickim na prawo. PiS jest partią złożoną, ale silną rolę odgrywają tendencje tradycjonalistyczne, nacjonalistyczne i otwarcie niechętne wobec tego, co reprezentuje sobą obecna unijna Europa. Deklarując przywiązanie do Unii, jej politycy i intelektualiści często odwołują się do jej mitycznego, chrześcijańskiego, pierwotnego wcielenia, a nie do historycznie ukształtowanej rzeczywistości.

Solidarność powstała w 1980 roku i miała istotny wymiar narodowo-wyzwoleńczy — chociaż pojęcie to używane nie było. Siły, które w niej dominowały w latach osiemdziesiątych, niewątpliwie miały charakter prozachodni i liberalny. Nasza transformacja oparta była w kategoriach społecznych — jak w analizie Walzera owych trzech krajów — na sojuszu elit liberalno-lewicowych, sekularnych, prozachodnich z masami ludowymi, które były raczej tradycjonalistyczne, kulturowo konserwatywne, katolickie. Do pewnego momentu ten sojusz, któremu pobłogosławił Jan Paweł II i pod jego wpływem polski Kościół oraz Solidarność, utrzymywał się, bowiem zapewniał niepodległość, umacnianie związków z Zachodem i postęp gospodarczy. Ale po dwudziestu pięciu latach — jak w przypadkach krajów analizowanych przez Walzera, chociaż nie należy oczywiście przywiązywać nadmiernej wagi do konkretnej liczby lat — ten sojusz pękł. Oczywiście, nie było żadnej konieczności przegranych wyborów przez Platformę Obywatelską (PO) i Polskie Stronnictwo Ludowe (PSL) w 2015 roku, ale tendencja do zmian widoczna już była od paru lat. Niewątpliwie popełniono błędy, było trochę korupcji i arogancji, ale odgrywały one w zmianach w Polsce zachodzących niewielką rolę, podobnie jak i głupota elit.

Prof. Paweł Kłoczowski: Proszę bardzo, teraz może profesor Król się jakoś ustosunkuje.

Prof. Marcin Król: Dziękuję Ci, Aliku, bardzo. Niezwykle mi się podobało wszystko, co mówiłeś, natomiast pewne korekty będą konieczne. To słowo „głupi” jest oczywiście przesadne, ale jeżeli chce się coś zrobić, jeżeli się w świecie idei chce coś przepchnąć, to trzeba użyć słów wyrazistych. Ono jest wyraziste. Gdybym chciał Państwu je tu delikatnie przedstawić, to bym powiedział „byliśmy niedostatecznie roztropni i rozumni”, a esencja tego polega na takiej oto rzeczy i zaraz wyliczę przykłady. Mianowicie jestem historykiem filozofii politycznej i filozofem politycznym. Historia filozofii politycznej w swoich dziejach powiedziała strasznie dużo mądrych rzeczy, ale z żadnej z nich w polskiej transformacji nie skorzystano. W polskiej transformacji brali przecież udział w olbrzymiej części moi przyjaciele i ja także, znaczy ja również zaliczam się do tych głupich. Nie skorzystali z tej wiedzy, którą można było mieć, można było bardzo dużo wiedzieć, i podam kilka przykładów tego, co można było wiedzieć, a z czego nie skorzystano. Oczywiście, że polityka jest dziedziną postępowania w sytuacjach głęboko niepewnych, bo przyszłość jest zawsze niepewna. W dobrej demokracji jest też ślad kompromisów. To co się stało w ‘89/’90 roku to jest wina nas wszystkich, twoja Aliku, Pawła Kłoczowskiego, wielu osób, jakie tu widzę, w tym również moja. Dlaczego myśmy nie zwrócili uwagi na to, że wyłącznie gospodarczy aspekt transformacji zabija aspekt społeczny? W książce cytuję powiedzenie, które mnie wyjątkowo śmieszy, a które można było usłyszeć z ust dwóch wielkich naszych przywódców, Leszka Balcerowicza i Leszka Millera. Na pytanie, jak wprowadzić sprawiedliwość i skasować bezrobocie, obaj mówili dokładnie to samo, że tylko rozwój gospodarczy to zapewni. Ta teza świadczy o tym, iż oni byli głupi. Nie mogę przecież się odciąć od Balcerowicza. To może nie jest mój przyjaciel, ale świetny znajomy z tego samego środowiska i świata, więc ja też tak myślałem. Sądziłem, że rozwój gospodarczy spowoduje, że będzie sprawiedliwość, że to będzie tak prosto szło. Okazało się, że kompletnie nieprawda. A przecież można to było wiedzieć, bo na świecie napisano już dziesiątki książek na ten temat wskazujących, że nie ma bezpośredniego przełożenia między dobrym rozwojem gospodarczym a zwiększeniem sprawiedliwości społecznej. Jak dziś wiemy, to przełożenie jest w ogóle wątpliwe. Idźmy dalej, byliśmy głupi, bo byliśmy przyzwoici, to znaczy w niewielkim stopniu rozumiano charakter polityki jako charakter polityki transformacyjnej, a nie polityki spokojnej itd. Jako taki sam charakter polityki, i tu znowu raczej masz, naśladowania *Keine experimente*, naśladowania Zachodu. Świetnie kiedyś powiedział Bronisław Geremek o tym, co byśmy chcieli mieć. W latach dziewięćdziesiątych w jakiejś dyskusji przy obcokrajowcach mówił, że chcielibyśmy, by było nam jak w Berlinie, Paryżu, Amsterdamie i Londynie. To jest drugi dowód na to, że byliśmy głupi, ale również dowód na naszego pecha, bo już w roku ‘90 tamten świat zaczynał się walić. Ktoś, kto czytał książki z filozofii politycznej, mógł wiedzieć, że demokracja liberalna zaczyna mieć się ku końcowi. Skoro tak, to mogłoby się wydawać, że mamy unikalną okazję nieco inaczej

posterować rozwojem demokracji. Nie robić czegoś takiego, co jest konstrukcją obecnej konstytucji, czyli demokratyczne państwo prawa. To najlepiej rozumiał Tadeusz Mazowiecki, ale bardziej to odczuwał, niż mógł zrealizować. Nie umiał dostatecznie mocno przekazać swoim współpracownikom, że demokratyczne państwo prawa to zdecydowanie za mało, że demokracja liberalna jest na poważnym zakręcie. Ta przyzwoitość była jeszcze związana z drugim elementem, który chcę podkreślić, a mianowicie w ogóle nie przewidywalismy czegoś takiego, że są barbarzyńcy koło nas, wśród nas, w nas. To znaczy może nie w tobie i nie we mnie, ale na przykład w naszych kolegach Kaczyńskich. Barbarzyńcy w najprostszym sensie, ja powtórzę teraz mój głupi dowcip, ale uważam trafny. Wyobraźcie sobie Jarosława Kaczyńskiego z Mariuszem Błaszczakiem, którzy jedzą ostrygi w Bretanii albo jeżdżą po Toskanii i szukają któregoś tam obrazu Piera Della Francesca, na przykład *Macierzyństwo*, które jest w Monterchi, i przecież to jest niemożliwe, bo to są barbarzyńcy. Dla nich nie ma czegoś takiego jak ostrygi i Piero Della Francesca. Myśmy nie zdali sobie sprawy z tego, że to jest bardzo skrótowe, że to są ludzie, dla których nie istnieje świat dwóch tysięcy lat cywilizacji, kultury i wynikających z tego pewnego typu zachowań, jak wierność, zaufanie, przyzwoitość, bezinteresowność itd. Ta grupa ludzi, która zakładała wtedy Polskę: Mazowiecki, Geremek, Smolar i wielu innych. Na początku również i ja, ale krótko, bo później z innych względów już mi się nie chciało. To byli ludzie, którzy myśleli, że tak jest już na świecie, że wszyscy są kulturalni, eleganccy, dotrzymują słowa i prowadzą przyzwoite rozmowy. Bardzo szybko wyszło na jaw, że tak nie jest, ale nikt się nie połapał. Symptomem był stosunek Mazowieckiego i Geremka do Lecha Wałęsy. To był pierwszy objaw, bo z tego punktu widzenia Wałęsa w jakimś sensie należy do świata barbarzyńców, chociaż wspaniałych barbarzyńców. To jest moim zdaniem strasznie ważne, bo myśmy nie zrozumieli, że są ludzie cywilizowani i ludzie dzicy. Fakt, że ludzie dzicy nie podlegają cywilizacji, powinien być oczywisty, bo w historii Europy barbarzyńcy wielokrotnie pokazali, jak łatwo potrafią zdominować nastroje społeczne. Kolejną kwestią było absolutne nieporozumienie w sprawie Kościoła. Myśmy w ogóle nie zrozumieli tego, że Kościół będzie nieustającym przeciwnikiem, nie chcę mówić wrogiem, demokracji. Wbrew zresztą nauczaniu Jana Pawła II itd. To nauczanie, jak wiemy, w Polsce nie ma żadnego znaczenia. Nie jest w ogóle ani czytane, ani odbierane. Kościół okazał się wrogiem demokracji. Oczywiście można sobie tłumaczyć, że przecież był tak pomocny w latach osiemdziesiątych, stąd też bardzo trudno było się domyślić, że w latach dziewięćdziesiątych i później będzie ciężarem. Tak jednak było i mówiąc szczerze, jestem przekonany, że tak będzie. Nic tu nie ulegnie zmianie. Oczywiście są wspaniali księża itd., ale Kościół jest przeciwko demokracji, koniec kropka. Wobec tego wspiera każdego, kto będzie ją ograniczał. Nie ma co do tego śladu wątpliwości. Moim zdaniem to też można było przewidzieć, znając historię polskiego Kościoła i studiując nieco dokładniej poglądy kardynała Stefana

Wyszyńskiego, skądinąd intelektualisty i wybitnego człowieka. Myśmy się dali zwieść, my jako głupi, daliśmy się zwieść temu, że w latach dziewięćdziesiątych podczas wyborów Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe (ZChN), które było popierane przez Kościół, dostało cztery i pół procenta głosów. To spowodowało złudzenie, że to są ludzie, którzy nie grożą, to są jakieś stare dziady, które nie odegrają żadnej roli, może nawet poczciwi i szlachetni, ale niegroźni zupełnie. Okazało się przeciwnie i to zmienia się coraz bardziej. Podsumowując, powiedziałbym tak: ostatnia kampania do parlamentu pokazała, że nic nie drgnęło w świecie liberalnym. Pamiętacie Państwo moim zdaniem dość fajną panią Ewę Kopacz, która mówiła bez przerwy: „dwadzieścia cztery procenty przyrosło”, „netto zmieniło się o tyle” i to były nieustanne argumenty we wszystkich debatach publicznych. Byłem już wtedy przekonany, że ona musi przegrać. Musi przegrać, ponieważ nie rozumie, jak można trafić do społeczeństwa i dlaczego dla społeczeństwa pewne kwestie nie mają znaczenia. Na zakończenie sprawa najważniejsza, sprawiedliwość. Otóż powiedziałbym tak, parafrazując inne znane powiedzenie, że jeżeli żyje na świecie choć jeden człowiek, który jest w nędzy, to wszyscy jesteście temu winni. Przesadzam oczywiście.

Niewątpliwie to jest straszliwa przesada, ale jednocześnie to jest to konserwatywno-lewicowe przekonanie, że sprawiedliwość jest wartością, bez której nie ma wolności. Wolność istnieje tylko wtedy, kiedy jest minimum sprawiedliwości. Isaiah Berlin jest wielki, właściwie wszystko, co powiedział, jest słuszne, poza jednym. Berlin nigdy nie wspomniał o tym, że wolność ogranicza brak pieniędzy. Otóż to jest moim zdaniem fundamentalny problem. Nie ma ludzi wolnych, którzy nie mają pieniędzy. Jeżeli człowiek ma dwie posady i czworo dzieci, i ledwie żyje, to nie jest wolny. Otóż my musimy — i to jest podstawą myślenia o przyszłości — dokonać zmiany w koncepcji demokracji liberalnej, bo inaczej ona upadnie. Macron ratuje ją na pewien czas, to są takie chwile oddechu i przedłużenia końca, ale w ostatecznym rozrachunku to musi doprowadzić do radykalnych zmian zasad demokracji, demokracji, nie liberalizmu. Demokracja, żeby wygrała, musi naprawdę uwzględnić wszystkich w równym stopniu, czyli musi być demokracją wspólnoty sprawiedliwych. Przepraszam, że kończę jak ksiądz, dziękuję.

Prof. Andrzej Waśkiewicz: Mógłbym na ten temat mówić wiele, ale rozumiem, że muszę krótko, więc chciałbym tylko odnieść się do tego aspektu tej głupoty. Otóż może przypominasz sobie, Marcinie, że piętnaście lat po rozpoczęciu transformacji w redakcji *Res Publikę* odbyło się spotkanie, podczas którego uczniowie żalili się na swoich nauczycieli. Pytaliśmy: „Czego wyście nas nie nauczyli?”, bo już wtedy mieliśmy poczucie, że nie wszystko poszło tak jak trzeba. Wiele z naszych żalów wówczas wyłożonych przypomina współczesną retorykę. Wydaje mi się, że po dziesięciu latach nasze zadowolenie wzrosło, mamy poczucie, że udało się więcej, niż wówczas sądziliśmy. Zwróciłem wtedy

uwagę na to, o czym i dzisiaj chciałbym wspomnieć. Owszem, w roku 1989 mieliśmy elitę i ona niewątpliwie ponosi odpowiedzialność za kształt transformacji. Ale jaka to była elita? Bo przecież nie technokratyczna. Jakie książki o polityce wówczas czytaliśmy? Arendty, Berliny, Hayeki. Czy wiedzieliśmy, jak działa realna demokracja, czy czytaliśmy studia politologiczne? Czy czytaliśmy analizy późnego kapitalizmu, choćby wspomnianego Clausa Offego? Jego studium o kłopotach państwa dobrobytu socjalnego *Contradictions of the welfare state* do dziś nie zostało przetłumaczone. Myśmy mieli elitę marzycieli. Nie mówię tego w sensie pejoratywnym. Po prostu nie mieliśmy takiej elity, która ma doświadczenie w rządzeniu, w administrowaniu państwem. Mieliśmy ludzi, którzy mieli w głowach mnóstwo ideałów, i myśmy też mieli te ideały w głowie. Biorąc pod uwagę, że taka sytuacja zdarzyła się po raz drugi — po raz pierwszy miała bowiem miejsce we Francji przed Wielką Rewolucją, to wydaje mi się, że ta nasza rewolucja wyszła jednak o wiele lepiej.

Prof. Katarzyna Haremska: Gdy mowa o błędach popełnionych przez nas w przeszłości, to myślę, że tak naprawdę nie chodzi o błędy, tylko o ewolucję poglądów. Nie popełniliśmy błędów w diagnozie rzeczywistości, tylko w międzyczasie zmieniliśmy zdanie i już nie identyfikujemy się ze swoimi opiniami sprzed lat. Mogę podać swój przykład. W latach osiemdziesiątych w moim kręgu znajomych czytało się szkołę austriacką. Już wówczas wiedzieliśmy, że wolny rynek nie gwarantuje sprawiedliwej dystrybucji dochodów. Więcej, gotowi byliśmy zgodzić się z Hayekiem, który uznawał sprawiedliwość społeczną za szkodliwy mit, wyraz atawizmu. Ważniejszymi wartościami były dla nas długość i jakość życia, dobrobyt, PKB na osobę itd. W imię tych kategorii godziliśmy się na to, że niekoniecznie będzie sprawiedliwie, że nagroda nie zawsze będzie odpowiadała zasłudze, że będzie miejsce na rynkowy przypadek. Akceptowaliśmy taki koszt postępu materialnego. W tym wycinku środowiska krakowskiego, którego poglądy tutaj wyrażam, była na to zgoda. Dzisiaj jednak inaczej patrzę na te sprawy, zmieniłam się. Wraz ze wzrostem komfortu życia stałam się bardziej wrażliwa na ludzką krzywdę... Profesor Król również się zmienił i ma teraz poglądy bardziej lewicowe... Nie chodzi zatem o niegdysiejszą głupotę i błędną ocenę sytuacji, lecz o zmianę perspektywy.

Z drugiej jednak strony należy widzieć fakty. Pokazują one, że transformacja wcale nie była tak brutalna, a jej koszt tak wysoki, jak to zostało przedstawione. Pewne dane przytaczali już redaktor Gadomski i profesor Smolar. Ze swej strony przywołam jeszcze współczynnik Giniego, który wyraża poziom nierówności dochodów. Gdy w danym społeczeństwie wynosi on 0,5 lub więcej, można mówić o relacjach oligarchicznych. W Unii Europejskiej jest on stosunkowo niski — około 0,3. W Polsce od kilkunastu lat współczynnik spada i obecnie jest w okolicach średniej europejskiej. Zatem opowieść o grupach wykluczonych i ofiarach transformacji jest trochę przerysowana.

I jeszcze jedna uwaga: profesor Król, mówiąc o ludziach nieuczestniczących w kulturze wysokiej, użył kategorii „barbarzyńcy”. Był w tym zdaniu ton pewnej arogancji. Nie chodzi mi o samo słowo — nie obawiam się kategorii „barbarzyństwo”, nie mam oporów przed jej używaniem. Wręcz przeciwnie: sądzę, że jest ona przez pokolenie transformacji niedoceniana. Pokolenie to zwykło myśleć pojęciami *homo oeconomicus*. Zapomniało o Machiavellim, Hobbesie, Heglu i tych wszystkich, którzy pisali o duszy tymotejskiej oraz zagrożeniach z niej płynących. Nie dostrzegano w ludzkiej duszy motywów megalotymicznych, które dziś tak spektakularnie się objawiają. Mam na myśli kult siły i pogardę wobec słabości. To jest prawdziwe barbarzyństwo! Słowo to pasuje do osób gotowych świadomie, w imię władzy, dla celów politycznych łamać zastane reguły i umowy. Do tak zwanych realistów politycznych, którzy chlubią się swoją przewrotnością i cynizmem. Nie zaś do tych, którzy nie mieli okazji zapoznać się z kulturą wysoką i nie potrafią w niej uczestniczyć. Ich, w odróżnieniu od profesora Króla, nie nazwałabym „dzikimi przybyszami z obcego kraju”.

Prof. Marcin Król: Ale, przepraszam, czy pani minister Zalewska, pani minister Kempa czy pan minister Kamiński itd. to nie są Pani zdaniem „barbarzyńcy”, to znaczy ludzie, którzy nawet po polsku nie mówią, ludzie, którzy „nie rozumiają” odniesień literackich ani niczego takiego? To są „barbarzyńcy”, znaczy oni przyjechali z obcego kraju.

Prof. Aleksander Smolar: Wręcz przeciwnie.

Prof. Piotr Bartuła: Nie wszystko da się tłumaczyć głupotą, którą można zdefiniować jako ponadnormatywny błąd. Od głupoty jest chyba coś jeszcze gorszego, mianowicie szaleństwo. Przekonała mnie kiedyś opinia, że Bóg zsyła na każdy ustrój złego geniusza, który poddaje go próbie. Niemcy mieli swojego złego geniusza i przetrwali. Demokracja niemiecka się jakoś przed tym geniuszem obroniła, przetrwała. U nas był już jeden taki mini zły geniusz, który pojawił się nagle niczym polityczne UFO (i wynikało to na pewno z polskiej głupoty), mianowicie Stan Tymiński. Mimo wszystko został on jednak powstrzymany. Teraz przyszedł chyba nowy zły geniusz i musimy poczekać, czy demokracja polska się przed nim obroni, a gwarancji żadnych nie ma, tym bardziej że istotnie jest on „barbarzyńcą”. Osobiście mam problem z człowiekiem, który nie ma żadnego hobby, nie ma zainteresowań sportem, erotyką, poezją, nie wiadomo, jakiej słucha muzyki, jakie malarstwo ogląda... Gdy natomiast idzie o rozczarowania, to największym okazał się Kościół. Słyszałem na przykład od biskupa Frankowskiego, że „przetrwaliśmy faszyzm, to przetrwamy i liberalizm”. Takich „głupich” wypowiedzi jest sporo, poddają one w wątpliwość nadzieję żywioną swego czasu przeze mnie (kiedyś przez Mirosława Dzielskiego), że chrześcijaństwo może wspomagać liberalizm.

Anna Czepiel: Chcę dopytać o krytykę indywidualizmu, która pojawiła się w wypowiedziach prelegentów i która w ogóle często pojawia się przy temacie liberalizmu. Zastanawiam się, o co tak naprawdę chodzi w tej krytyce indywidualizmu, bo mi się zdaje, że indywidualista rozumiany jako osoba, która chce ciągle konsumować, ciągle biegać do centrów handlowych, to raczej jest kolektywista. Taka postawa to nie jest indywidualizm, tylko kolektywizm. Czy chodzi właśnie o krytykę takiego konsumpcyjnego, coachingowego pseudo-indywidualizmu, czy też chodzi o coś więcej? A przez to „coś więcej” rozumiem krytykę indywidualizmu, którą często widzę na przykład w artykułach w *Teologii Politycznej*. Te środowiska zazwyczaj jasno mówią: krytykujemy indywidualizm, bo chcemy, żeby jednostka nie „rozkoszowała się życiem”, tylko służyła dobru wspólnemu, była posłuszna jakiejś władzy, na przykład rodzinie.

Prof. Beata Polanowska-Sygulska: Trzy zdania odnośnie do tego, co profesor Król powiedział o Isaiahu Berlinie. Pamiętam jedną z rozmów, jaką odbyłam z nim w Wolfson College. Po lekturze *Dwóch koncepcji wolności* wydawało mi się, że wolność ma dla Berlina status najwyższej wartości. Mój rozmówca powiedział wówczas: „Jestem zwolennikiem państwa dobrobytu, między innymi dlatego, że nie muszę się już martwić o biednych. Państwo dobrobytu zdejmuję ze mnie poczucie winy”. Był pluralistą etycznym i rozpoznawał wielość wartości. Wolność zaś miała na gruncie jego refleksji status szczególny, ale nie najwyższy i nie absolutny.

Prof. Marcin Król: Krótko dosyć. Bardzo z Panią Profesor się zgadzam. Oczywiście, że się zmieniłem. Jak mówię: „byłem głupi” wtedy, myślę, że teraz jestem chociaż trochę mniej. Co nie znaczy, że nie jestem głupi w innych sprawach dzisiaj. Co do sprawy liberalizmu, demokracji, indywidualizmu, to jest strasznie proste. Z moim współpracownikiem profesorem Piotrem Laskowskim prowadzimy na zmianę seminarium magisterskie o liberalizmie. Nie da się powiedzieć, co to jest liberalizm, ani prosto, ani zawile, natomiast jest pewna jedna istotna różnica, na którą warto zwrócić uwagę i która występuje wszędzie, we wszystkich poważnych tekstach. Demokracja wymaga zaangażowania od obywateli. Wspólnota wywiera na jednostkę przymus, polegający na tym, że się angażujemy. Wdajemy się w sprawy wspólnoty. Naczelnym przesłaniem liberalizmu, z panią Thatcher, z Johnem Stuartem Millem aż po Isaiaha Berlina, jest przekonanie, że mamy walczyć o wolność indywidualną czy prywatną od przemocy i tu jest ten problem. Benjamin Constant już w 1819 roku wiedział o tym, że jest problem na styku radykalnej wolności prywatnej i uczestnictwa we wspólnocie. Że są to rzeczy trudne, być może nierealne do pogodzenia. Moim zdaniem dzisiaj widać, że to jest właściwie niemożliwe do pogodzenia, bo byli tacy, którzy spróbowali to pogodzić, i można było z nich korzystać. Im się to chyba nie udało, ale Alik bardzo ciekawie cytował jednego z nich. W 1982 roku ukazała się książka *Liberalism and the Limits*

of Justice Michaela Sandela. To był właściwie początek ruchu komunitarian, którzy próbowali połączyć postulaty liberalne z demokratycznymi. Intelktualnie z tego wynikło mnóstwo ciekawego, włączając w to Walzera. Praktycznie nic z tego nie wynikło, w dodatku liberałowie ich nienawidzą, zaś konserwatyści uważają ich za lewicowców, bo zajmują się sprawiedliwością. Porażka intelektualna tej grupy, bardzo ważnej i ciekawej, świadczy nie o tym, że oni poszli złą drogą, tylko o tym, że nie umiemy zrozumieć połączenia tych dwóch postulatów. Michael Sandel powiedział mi kiedyś, że jak siada obok Amy Gutmann, radykalnej przedstawicielki demokracji twardej, to się boi, że ona go pobije. On to także liberał właściwie, tylko liberał komunitariański, a nie liberał-liberał. Wreszcie jeszcze jedna sprawa, która była tu poruszana, a mianowicie pytanie, czy to się zmieniło. Andrzej Waśkiewicz mówił, że myśmy utyskiwali już długi czas temu. Oczywiście, że to są takie fale, wszystko na świecie idzie „tak”, ale są momenty drastyczne, są momenty końca i są momenty zmiany. Pamiętam, jak Francuzi jeszcze przed wyborami, pytani na ulicy: „Czego chcecie we Francji?”, odpowiadali: „Changement”. Nie wiadomo jakiego dokładnie *changement*, ale tak samo jak w Polsce, chcieli zmiany. To jest postulat, co w swojej małej książce *Prawdziwy koniec Rewolucji Francuskiej* pokazuje fantastycznie François Furet. Zasadą rewolucji dla niego była zmiana. Nieważne w którą stronę, ale zmiana, która niszczy czas poprzedni, zmiana, która trwa. W związku z tym myślę, że jednak bez jakiejś rewolucji, to jest dowód teraz mojej lewicowości, się nie obejdzie.

Prof. Aleksander Smolar: Oczywiście nie ma stabilnej demokracji bez poczucia sprawiedliwości w społeczeństwie. Nie muszę jednak mówić, iż pojęcie to dalekie jest od jednoznaczności. I w różnych warunkach kulturowych i społecznych różne normy sprawiedliwości są akceptowane. W polskich debatach — i nie tylko polskich — przywoływany jest i stawiany za wzór przykład krajów skandynawskich. Model szwedzki mógł powstać w małym, kulturowo homogenicznym, protestanckim kraju o wysokim poczuciu wzajemnego zaufania. Macron też jest zapatrzony w Szwecję i pewne rozwiązania próbuje imitować, ale jest rzeczą oczywistą, że Francji ani też Polski do Skandynawii przenieść się nie da. Stawia się też za przykład Niemcy, ale żeby mieć gospodarkę społeczną typu niemieckiego, trzeba mieć bardzo trudne warunki powojenne tego kraju oraz poziom konsensusu i dyscypliny społecznej, których w Polsce nie mamy.

Chcę powiedzieć kilka słów o jeszcze jednej sprawie, która się wiąże z tym, o czym mówił Marcin Król, a mianowicie o końcu liberalnej demokracji. Mówi on bardzo zdecydowanie o przyszłości, o której skądinąd, jak twierdzi, nic nie wiemy. A więc czy się skończyła, czy się nie skończyła, tego też nie możemy być pewni. Chociaż zapewne dotychczasowy stan równowagi między zasadą demokratyczną i liberalną ulegnie modyfikacji, może nawet daleko idącej. Wiemy bowiem, iż obecnie drogi tradycji liberalnej i demokratycznej niebezpiecznie się rozchodzą. Kiedyś, przed dwustu laty, nastąpiło ich połączenie, ale to współzycie

zawsze było trudne i konfliktowe. Żeby zwięźle przypomnieć, demokracja mówi o tym, jak się wyłania tych, którzy rządzą, a liberalizm zakreśla granice władzy. Zasada demokratyczna mówi o wyłanianiu władzy w wyniku wolnych i sprawiedliwych wyborów, zasada liberalna zaś o ograniczaniu władzy politycznej w wyniku rządów prawa, „trójpodziału władzy” i ochrony podstawowych wolności: słowa, zgromadzeń, religii i własności. W uproszczeniu można przeciwstawić rządy ludu rządowi prawa.

Otóż, paradoksalnie, dziś czystą zasadę demokratyczną, odrzucającą ograniczenia nakładane na suwerenną wolę ludu, reprezentują ruchy populistyczne. Populiści, również u nas, kwestionują liberalne fundamenty współczesnego ładu demokratycznego. Ten typ demokracji nie ma oczywiście związku ze współczesnym rozumieniem demokracji liberalnej. Z drugiej strony są ci, którzy nie podważając otwarcie zasady demokratycznej, delegitymizują rządy ludu, kwestionując kompetencje polityczne „chamów” i „barbarzyńców”. W istocie bronią w ten sposób zasady liberalnej i rządów elit przeciwko buntującym się dołom społecznym, występującym przeciwko instytucjom państwa prawa i panującym elitom. Obecna sytuacja, zresztą w bardzo wielu krajach Zachodu, jest bardzo niebezpieczna, również w kategoriach społecznych. Mamy do czynienia z najpoważniejszym dzisiaj konfliktem klasowym i moim zdaniem nieuświadomienie sobie tego faktu może prowadzić do katastrofy. Trzeba zatem szukać porozumienia na różnych poziomach, na poziomie języka, na poziomie zasad sprawiedliwości społecznej, ale również na poziomie wartości demokratycznych i liberalnych. No i przede wszystkim potrzebny jest szacunek i uznanie godności innego człowieka, potrzebne jest szukanie kompromisów, aby przyzwoity ład społeczny i polityczny był możliwy.

Prof. Katarzyna Haremska: Proszę Państwa, organizując tę debatę, zadaliśmy naszym gościom pytanie o kryzys polskiego liberalizmu: o źródła odwrotu od idei liberalnych i receptę na przyszłość. Dyskusja była rzeczywiście pasjonująca. Pojawiło się wiele osi sporu, różnorodne diagnozy i propozycje naprawy. Pragnę podkreślić, że choć dominowały głosy bardzo krytyczne w stosunku do liberalizmu, to dyskutanci wypowiadali się z wnętrza tej doktryny, zatroskani jej obecnym stanem. Najbardziej surowy w ocenach był profesor Król, ale nawet on, takie odniosłam wrażenie, nie życzył źle liberalizmowi.

Prof. Aleksander Smolar: Ja Pani zdradzę tajemnicę: on jest liberałem!

Prof. Marcin Król: Oczywiście, że jestem liberałem, w sensie obyczajowym, stoprocentowo, ale nie jestem liberałem w sensie filozoficznym.